

MARGINESY

NA PROSTEJ I ZAKRĘTACH

Witek

Witek nie czuł się ani odrobinę winny, pakując swoje dwie walizki i wyprowadzając się z domu. Robił to trochę cichaczem, w środowe południe, bez świadków. Dzieci były w szkole, żona po kolejnej porannej awanturze wściekła pojechała do biura. Był pewny, że robi dobrze, tak bardzo pewny jak chyba nigdy niczego. Przez ostatnie lata nieustannie fantazjował, jakby to było, gdyby mógł się cofnąć o dziesięć, dwadzieścia lat, jak wtedy pokierowałby swoim życiem i karierą.

Witek ożenił się bardzo młodo, oboje z żoną byli jeszcze na studiach. Teraz zupełnie nie pamiętał tego uczucia, ale wiedział, że wtedy czuł, że to miłość jego życia. Pojawienie się dziecka miało trochę pokrzyżować niektóre ich plany, ale nie było czymś, co ich nadmiernie przeraziło. Bywało im ciężko, żyli w akademiku z jedną łazienką na całe piętro, z małym dzieckiem. Wtedy jednak wszystko przychodziło im łatwiej. Cała reszta potoczyła się bardzo szybko. On został na uczelni, zrobił doktorat, zaczął nigdy nie skończoną habilitację, ona założyła z koleżanką swoją firmę, która po kilku latach zaczęła się dobrze kręcić. Po kilkunastu latach niewiele zostało z ich skromnego życia – mieli ładny dom, dwa dobre samochody i egzotyczne wakacje dwa razy do roku. Niewiele też zostało z wzajemnego szacunku, a nawet sympatii. Trudno nawet dokładnie określić, kiedy zaczęli sypiać w innych pokojach – jej przeszkadzało jego chrapanie, jemu jej późne chodzenie spać. Na zewnątrz ciągle jednak uchodzili za przykład idealnej rodziny. Ładni, zamożni, wykształceni, z ładnymi, zdolnymi dziećmi.

Wszystko się zmieniło, gdy Witek uświadomił sobie, że jedna z jego studentek śmiało z nim flirtuje. Był zadbany, wysportowany, miał modne ciuchy, ale jakoś nigdy nie przyszło mu do głowy, że może spodobać się o połowę młodszej kobiecie. Pierwsze spotkania były całkowicie niewinne i bardzo Witkowi schlebiali. Dawno odwykł od komplementów na swój temat, dawno nikt nie chwalił jego prac. Romans szybko nabrał rozpędu i – co istotne – szybko stracił wiele cech romansu. Mężczyzna nie odczuwał potrzeby nadmiernego ukrywania się, żona i tak zupełnie nie interesowała się jego życiem.

Witek spędzał większość wieczorów ze swoją studentką – chodzili do kina, do teatru, on zabierał ją do filharmonii, ona jego na imprezy organizowane przez jej znajomych. Co dziwne, nigdy nie czuł się źle ani głupio, początkowo może trochę nie na miejscu, ale szybko przywykł do tej specyficznej sytuacji.

Bomba miała jednak opóźniony zapłon. Żona Witka poinformowała go o swoim odkryciu spokojnie. Wieczorem stanowczo zażądała, aby następnego ranka zabrał swoje rzeczy i zniknął, a wszystkimi innymi sprawami zajmie się ona. Nie obeszło się jednak bez późniejszej wielkiej awantury, wyzwisk i wylewania pomy. Witek zabrał swoje dwie walizki i wrzucił je do bagażnika. Wynajął pokój w hotelu, mając jednak nadzieję, że będzie mógł z niego nie korzystać. Bardzo nie lubił hotelowych pokoi, ich bezosobowej czystości. Miał nadzieję zatrzymać się na kilka dni u swojej młodej kochanki, ale nie chciał się jej narzucać. Dziewczyna mieszkała z dwiema koleżankami w sporym mieszkaniu w centrum. Nieraz tam bywał, czasami spał po kilka godzin, ale nigdy nie nocował.

Tamtego wieczora pierwszy raz poczuł się nieswojo – jego dziewczyna miała już plany na wieczór i jakoś niespecjalnie miała ochotę wymienić wieczorne kino ze znajomymi na wysłuchwanie jego żali. Spotkali się przelotem, wymienili kilka zdawkowych zdań, a Witek wrócił samotnie do hotelowego pokoju. Tamtej nocy pierwszy raz zaczął się zastanawiać, czy dobrze robi, wyracając swoje życie do góry nogami.

Przez kolejne dni miał plany zająć się wszystkim, co zaniedbywał przez ostatnie lata. Po pracy poszedł na siłownię, na której szybko okazało się, że jest najstarszy i ma najłabszą kondycję. Bezskutecznie próbował wyciągnąć kilku kumpli na piwo. Finalnie poszedł więc poprawić sobie humor zakupami, choć i to na wiele się nie zdało. Ania, którą teraz mógł już bez wyrzutów sumienia nazywać „swoją dziewczyną”, przez większość dnia nie odbierała telefonu. Oddzwoniła dopiero wieczorem, ale i tak nie miała specjalnej ochoty na dłuższą rozmowę.

Trochę znudzony i przybity Witek zszedł do baru, który był po przeciwnej stronie ulicy. Siedział sam przy blacie i opowiadał niespecjalnie przejętemu tym barmanowi ostatnie wydarzenia. Po kolejnej whisky z colą poczuł gwałtowne ukłucie i zrobiło mu się słabo. Tego dnia było bardzo zimno, pomyślał więc, że znowu przemarzł i wróciły stare nerwobóle. Wychylił jeszcze kilka kolejek i wrócił do hotelu. Nie doszedł jednak nawet do windy, w holu poczuł się jeszcze gorzej i osunął się na podłogę. Ocknął się dopiero w szpitalu, podpięty do różnych rurek. Miał 42 lata i przeszedł swój pierwszy zawał. W szpitalu niebawem pojawiła się żona Witka, do której zadzwonił ktoś z personelu. Nie była tym zbyt zachwycona, ale trudno jej było mimo wszystko ukryć troskę i strach. Tego dnia Ania nie odebrała już telefonu.

Kilka następnych dni ciągnęło się Witkowi jak guma do żucia. Dostał sporo esemesów i telefonów, ale nie sądził, żeby ktokolwiek z dzwoniących szczerze interesował się jego losem. Ania pojawiła się jakoś po południu. Była mocno przestraszona – miała 20 lat i pierwszy raz w życiu była w szpitalu. Nie bardzo wiedziała, czym jest zawał, ale też niespecjalnie chciała się dowiadywać. Gdy Witek zaczął drażnić temat ich wspólnego mieszkania, które luźno planowali jeszcze przed jego wyprowadzką od żony, dziewczyna pobrała. Zaczęła coś nieskładnie tłumaczyć o stypendium, o wyjazdach, wolności i młodości, ale Witek po drugim zdaniu już nie słuchał. Dobrze wiedział, że powoli zamyka się ten rozdział jego życia – od niego tylko zależało, co zrobi z następnym.

Po kilku dniach Witek wyszedł ze szpitala. Jego żona zabrała jego rzeczy z hotelowego pokoju i przewiozła do domu. Witek czuł, że jest jej to winien i wrócił do domu z podkulonym ogonem. Wiedział też, że dalej stoi na rozstaju – i albo szybko wyjaśni wszystko i z honorem się wyprowadzi, tym razem na stałe, albo powalczy o kobietę, która nigdy go nie zawiódła.

Kierunek Soczi

Przed nami najważniejsza tegoroczna impreza sportowa na świecie – mam oczywiście na myśli XXII zimowe igrzyska olimpijskie w Soczi, które odbędą się w dniach 7–23 lutego. Ten popularny nadmorski kurort, znany przede wszystkim jako miejsce letniego wypoczynku, przyjmie najlepszych zawodników świata specjalizujących się w sportach zimowych. Rywalizacja toczyć się będzie w 15 dyscyplinach w 98 konkurencjach. Do zdobycia są więc 294 medale.

Polska nigdy nie zaliczała się do ścisłej czołówki światowej w sportach zimowych. Zdecydowanie wyprzedzali nas sportowcy z Austrii, Norwegii, Niemiec, Finlandii, Francji czy Rosji (wcześniej ZSRR). W niektórych dyscyplinach, np. w narciarstwie alpejskim czy hokeju na lodzie, polscy sportowcy nie mieli nic do powiedzenia.

W dotychczasowych igrzyskach zimowych polscy sportowcy zdobyli tylko 14 medali (2 złote, 6 srebrnych i 6 brązowych).

Pierwszy olimpijski krążek dla polskich sportów zimowych, a był to medal brązowy, zdobył Franciszek Gąsienica Groń w kombinacji norweskiej (skoki i bieg) w Cortina d'Ampezzo w 1956 r. Cztery lata później w Squaw Valley polski sport wzbogacił się o kolejne 2 medale, które zdobyły łyżwiarki szybkie w biegu na 1500 m – srebro wywalczyła Elwira Seroczyńska, a brąz Helena Pilejczyk. Dopiero w Sapporo w 1972 r. polski sportowiec stanął na najwyższym stopniu podium. Złoty medal w skokach narciarskich zdobył wówczas

Wojciech Fortuna.

Dwadzieścia lat trzeba było czekać na kolejny krążek olimpijski wywalczony przez polskiego sportowca. Udało się Adamowi Małyszowi w Salt Lake City w 2002 r. W skokach zdobył 2 medale – srebrny i brązowy. Drugi złoty medal dla Polski wywalczyła natomiast w biegu na 30 km Justyna Kowalczyk w Vancouver w 2010 r.

Przypomnijmy pozostałych polskich medalistów olimpijskich. Medale srebrne zdobyli: Tomasz Sikora w biathlonie w biegu na 15 km (Turyn 2006); Adam Małysz w skokach narciarskich (dwa krążki, Vancouver 2010); Justyna Kowalczyk w sprincie (Vancouver 2010). Medale brązowe wywalczyli: Justyna Kowalczyk w biegu

na 30 km (Turyn 2006) oraz w biegu łączonym na 15 km (Vancouver 2010); łyżwiarki szybkie w biegu drużynowym (Katarzyna Bachleda-Curuś, Katarzyna Woźniak, Luiza Złotkowska).

W Soczi rozegra się kolejna walka o olimpijskie laury. W gronie sportowców, którzy wezmą udział w tej rywalizacji, będzie 59 reprezentantów Polski – będzie to zatem najliczniejsza ekipa w historii naszych startów w zimowych igrzyskach. Dotąd najliczniejszą ekipę mieliśmy w igrzyskach w Innsbrucku w 1976 r. – nasza reprezentacja liczyła wówczas 56 osób. Na poprzednich igrzyskach w Vancouver w 2010 r. polska ekipa liczyła natomiast 47 osób i wywalczyła 6 medali.

Trzeba przyznać, że 59 osób to grupa liczna jak na nasze możliwości i dotychczasowe osiągnięcia. Niewątpliwie wpływ na taką decyzję miała niewielka odległość do Soczi. Mamy więc stosunkowo liczną ekipę, w której niewiele jest kandydatów do olimpijskiego podium.

Kto i jakie ma szanse na olimpijskie podium? Głośno mówi się o prawdopodobnym sukcesie naszych skoczków. Marzenia i pragnienia kibiców są uzasadnione. Nasi skoczkowie całkiem przyzwyczajeni są do konkursów zaliczanych do Pucharu Świata. Dzięki solidnemu szkoleniu wykrystalizowała się spora grupka młodych i obiecujących zawodników, której liderem jest niewątpliwie Kamil Stoch, czyli zawodnik zaliczający się do ścisłej światowej czołówki. Stoch ma w swoim dorobku nie tylko zwycięstwa w konkursach Pucharu Świata, ale także tytuł mistrza świata wywalczony w ubiegłym roku oraz brązowy medal mistrzostw świata w konkursie drużynowym. Jan Ziobro i Piotr Żyła też mają w dorobku miejsca na podium w konkursach pucharowych. W ekipie są jeszcze Dawid Kubacki i Maciej Kot. Jest to ekipa ciekawa i obiecująca, jak twierdzi m.in. trener kadry polskich skoczków Łukasz Kruczek.

Nasi skoczkowie zaliczają się do kandydatów do miejsca na olimpijskim podium. Takich kandydatów jest jednak znacznie więcej, myślę przede wszystkim o Austriakach z Gregorem Schlierenzauerem na czele. Są też bardzo dobrze prezentujący się reprezentanci Słowenii i Niemiec. Nie można również zapominać o Norwegach. Ponadto są Japończycy z przeżywającym drugą młodość Noriakim Kasaim. Jest jeszcze nieobliczalny Szwajcar Simon Ammann, który cztery razy triumfował w olimpijskich konkursach (Salt Lake City 2002 i Vancouver 2010) i także w Soczi ma realne szanse na wzbogacenie swojego dorobku medalowego. Nie należy zapominać, że w tego typu konkursach zawsze można oczekiwać niespodzianek. Rywalizacja w skokach jak nigdy dotąd zapowiada się niezwykle ciekawie. Miejmy nadzieję, że w tej rywalizacji dobrze spiszą się polscy skoczkowie.

Jest też nasza biegaczka Justyna Kowalczyk, na którą także liczy olbrzymia rzesza polskich kibiców. Jej cykl przygotowań do olimpijskiego startu został nieco zachwiany – mam na myśli rezygnację ze startu w Tour de Ski. Jej głównymi rywalkami do olimpijskiego podium są Norweżki z Marit Bjoergen i Therese Johaug na czele. Nie można też lekceważyć Szwedek i Niemek oraz Rosjanek, które na swoim terenie będą się starały pokazać z jak najlepszej strony. Mówiąc o szansach Justyny Kowalczyk, należy pamiętać, że nasza zawodniczka lepiej czuje się w biegach w stylu klasycznym – i właśnie w tych konkurencjach można liczyć na bardzo dobry wynik naszej biegaczki.

To by było na tyle, jeśli chodzi o nasze realne szanse do olimpijskiego podium. Nie znaczy to wcale, że nie wierzę w ambitny start naszych reprezentantów. Każdy dobry wynik w łyżwiarstwie szybkim, w biathlonie czy snowboardzie będzie cieszył polskich sympatyków sportów zimowych. Trzymajmy więc kciuki za dobre występy polskich reprezentantów w Soczi.

